Rok V. Kraków, 15 marca 1903. Nr. 3.

NIEWIASTA POLSKA

Wychodzi w każdą trzecią niedzielę miesiąca.

Kosztuje w Austryi:	W Niemczech:
rocznie 40 cnt., półrocznie 20 cnt.	rocznie 1 marka, półrocznie 50 fen.

Numer pojedyńczy 4 ct.

Administracya pisma: **Kraków, ul. Mikołajska Nr. 30.**

Wszelkie przesyłki i listy pieniężne prosimy adresować:

H. Dziewicka, w Krakowie, ulica Mikołajska Nr. 30.

Numera pojedyńcze „Niewiasty polskiej“ nabywać można w Krakowie u Wydawcy: ulica Mikołajska l. 30, I. piętro.

Prenumeratę można przesyłać w znaczkach pocztowych.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Pozdrowienie Anielskie.



W ubogim domku w miasteczku Nazaret klęczy przeczysta Dziewica, zatopiona w modlitwie. Poseł Boży, Archanioł Gabryel, staje przed Nią i przynosi nowinę niewymownie radosną dla Niej i dla całej ludzkości. »Bądź pozdrowiona — mówi — łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami! Oto poczniesz w żywocie i porodzisz Syna i nazwiesz imię Jego Jezus. Ten będzie wielki i będzie zwan Synem Najwyższego«. A gdy Marya strwożona spytała: »Jakoż się to stanie, skoro męża nie znam?« — odrzekł Anioł: »Duch św. zstąpi na Cię i moc Najwyższego zaćmi Tobie«, t. j. nie zwyczajnym lecz cudownym sposobem porodzisz Zbawiciela świata. Skoro zaś Marya dała swe przyzwolenie i rzekła: »Oto ja służebnica Pańska, niech mi się stanie według słowa twego«, Duch

św. zstąpił na Nią, Słowo przedwieczne stało się ciałem i zamieszkało między nami.

Pierwsza część Pozdrowienia Anielskiego składa się ze słów Archanioła Gabryela: »Zdrowaś Marya, łaskiś pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami«.

Część druga wyszła z ust Elżbiety, matki św. Jana Chrzciciela, a ciotki Najśw. Panny. Zaraz po zwiastowaniu udała się Marya w odwiedziny do ciotki swej, św. Elżbiety. Ta napełniona Duchem św., nie wiedząc, co zaszło w Nazarecie, pyta: »Skądże mi to, że przyszła Matka Pana mego do mnie?« i powtórzywszy słowa Archanioła: »Błogosławionaś Ty między niewiastami«, dodała wyrazy: »i błogosławion owoc żywota Twego«.

Część trzecią, t. j. »Jezus, święta Maryo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej« dodał Kościół z następującej przyczyny. Kiedy w V wieku Nestoryusz począł bluźnić, że Maryi nie należy się tytuł Matki Boskiej, zwołano Biskupów do Efezu w r. 431 i na tym soborze potępiono Nestoryusza, jako błędnowiercę, wykluczono go z jedności kościelnej i nakazano wiernym do słów Archanioła i Elżbiety dodawać zwyż przytoczone wyrazy.

Po modlitwie Pańskiej jest to modlitwa najpiękniejsza, Maryi nader miła, a nam bardzo pomocna i skuteczna, stąd powtarza się ustawicznie w ustach ludu chrześcijańskiego i powtarzać się będzie miliony razy na dzień, aż do końca wieków odnawiając pamiątkę zwiastowania anielskiego i wcielenia Chrystusowego.

I wy ojcowie Polacy i wy matki Polki nie wypuszczajcie z pamięci, z ust i serc waszych tego słodkiego pozdrowienia. Ile razy usłyszycie głos dzwonu odzywający się z wieży kościoła, ile razy przechodzicie koło obrazu lub figury Matki Boskiej, ile razy obchodzicie Jej święto; rano, skoro was brzask dnia ze snu ocuci, i wieczorem, gdy z umęczenia do snu się zabieracie, w każdem niebezpieczeństwie, w każdym smutku, w każdej potrzebie wołajcie z głębi serc waszych do Maryi odmawiając Jej miłą modlitwę.

Ks. St. N.

Z tamtego świata.

Blade grudniowe słońce chyliło się ku zachodowi i po krótkim, chmurnym dniu, miała nastąpić noc ciemna i długa.

Po śnieżnej drodze szedł człowiek z węzełkiem w ręku. Wysoki był, szczupły, nieco przygarbiony, młody widać jeszcze, choć już prawie siwy.

Ubrany był biednie, choć nie z chłopska i mowę miał nie chłopską.

Kiedy zmarznięty zachodził do jakiego dworu, patrzono nań z nieufnością i tytułowano »podróżnym«. We wsiach, dając mu chleb, szeptano sobie do ucha, że to nie zwyczajny »dziad«, bo i nie stary, i nie kaleka, i nie ma torby płóciennej na plecach.

On pieniędzy nie przyjmował od nikogo, ale chlebem nie gardził, bo i czemżeby żył?

Odpoczywał bardzo mało; ledwie gdzie zasiadł na chwilę, ledwie łyżkę strawy przełknął, już się zrywał, dziękował, błogosławił i ruszał dalej.

Pytany o przyczynę pośpiechu mówił, że musi zdążyć na »wigilię« do domu.

Jedni uśmiechali się drwiąco, inni brali go za waryata.

Bo też dziwnie wyglądały wyrazy »mój dom« w ustach żebraka, włóczęgi z końca świata, może złodzieja, a może rozbójnika, co nigdy nie był pewny, gdzie głowę położy, co kęsa chleba nie był w stanie sobie kupić.

Jego dom! Jakiż on był i gdzie?

A jednak, kiedy człowiek ten dziwny mówił o swoim domu, to twarz jego zbiedzona rozjaśniała się jakby nań padł promyk Bożego słonka.

. . . .

Mrok powoli otulał ziemię.

Człowiek z węzełkiem w ręku szedł ciągle coraz spieszniej. Wiatr mroźny zapierał mu oddech w piersi i smagał twarz bezlitośnie, ale on miał wolę silniejszą od wichrów — więc szedł.

Za chwilę błyśnie pierwsza gwiazda... w chacie zasiądą do wieczerzy wigilijnej... matula go wspomni i zapłacze, jako nad zmarłym... a on, tymczasem wejdzie cicho do izby i do nóg jej runie, jak

długi... A potem weźmie gospodarkę, osiądzie w chacie, ożeni się z Wojciechówną... on ją przecie z dawna kocha, tę swoją słodką dziewczynę, co ma włosy złote, oczy błękitne, usta jak malina... bo i gdzież na świecie taką drugą znaleźć!

O Jezu!

Czyż serce człowieka może objąć tyle szczęścia? czy nie pęknie z jego nadmiaru?

I znowu kroku przyśpieszył.

Nagle, w oczach zrobiło mu się ciemno, w skroniach zaczęło mu tętnić... przystanął, wziął garść śniegu i włożył go do ust — to go orzeźwiło, więc ruszył prędko dalej.

Tyle lat, tyle nędzy, tyle bólu...

Nie chciało mu się wierzyć po prostu, żeby to się dziś miało skończyć i żeby nad jego czarną dolą Bóg się zmiłował... A czarna to była dola, oj czarna!

Pięć lat mijało, jak Antek Wilczak — bo on to był właśnie — opuścił rodzinę i powędrował w świat za chlebem, ale nie za tym czarnym, boć go tu nie brak, jeno za białym, co go Antek we dworze kosztował.

Poszli inni — poszedł i on.

Inni wrócili do chat, jemu się nie poszczęściło.

Raz mu złodzieje ukradli całoroczny zarobek, to znów choroba pochłonęła wszystkie zaoszczędzone dolary. Ale gorzej choroby gryzła go szalona tęsknota za chałupą, za rodziną, za tem, co swoje.

Od towarzyszów swoich oddalił się, stracił ich zupełnie z oczu i nie miał już od tej pory żadnego echa z rodzinnej wioski. List pisał raz do ojców, ale adres był niedokładny widać, bo odpowiedzi nie otrzymał.

Od tej chwili było mu już coraz gorzej na obcej ziemi i postanowił wrócić, wrócić choćby o żebranym chlebie, wrócić jak najprędzej!

To było jego marzenie — cel jego życia. Przestał jeść, przestał mówić, tylko pracował od świtu do nocy i składał dolary pod siennikiem, a po nocach liczył je, zamiast spać — i wzdychał.

Jeszcze dużo brakowało — a tu z każdym dniem czuł się bardziej wyczerpany.

Wreszcie pewnego wieczoru liczył, liczył i wyliczył, że ma właśnie tyle, ile mu potrzeba na podróż... Więc padł na ziemię i szlochał...

A na drugi dzień wielki parowiec francuski niósł go na swym pokładzie do Europy.

Ale nie był to już ten dawny Antek, smukły i rosły jak topola, silny jak niedźwiedź, piękny niby dziewczyna... Gęstwinę czarnych włosów przebiegały srebrne nitki, oczy zapadły, twarz zżółkła, a cała postać gięła się ku ziemi, jak trzcina wichrem miotana.

Biedny Antek!

Ale on w tej chwili czuł się znów młodym, był szczęśliwym nadzieją rychłego powitania swoich...

Spostrzegł w oddali... tak, on się nie myli, to jego wioska rodzinna... poznaje las, poznaje pola chociaż pod śniegiem; a tam dwór... a tam kościółek i plebania...

Biegnie... pot leje mu się z czoła... w piersi niestaje tchu... ale to nic, wszak odpocznie w chacie, przy wigilii.

Nogi mu się chwieją... przed oczyma latają czarne i czerwone płatki... to nic, on biegnie... Jeszcze trochę... coraz bliżej... jeszcze trochę sił... Już... już... Nagle stanął, jakby mu nogi w ziemię wrosły. Co to jest?

Przecież ona tutaj stała, jego chata...

Czy jemu się w głowie pomieszało?

Co to jest?

Wyraźnie sterczą opłotki, a tam, gdzie była chata, jeno śnieg leży spiętrzony... jakby wielką mogiłę osłaniał. Chwila mijała za chwilą a on stał i patrzył...

Wreszcie ocknął się i szybko ruszył przez wieś. Rozejrzał się i zastukał gorączkowo do drzwi nizkiej, czarnej chaty, starego Wojciecha. Chciał wyjaśnienia tej zapadki, a może prócz tego, pragnął ujrzeć słodką twarz Wojciechówny i w jej kochającem sercu zaczerpnąć siły do zniesienia tego nieszczęścia, które przeczuwał.

Po krótkiej chwili dały się słyszeć kroki w sionce; stary, ochrypły głos pytał: »czy to ty Marcinie«? a jednocześnie czyjeś trzęsące się ręce odsuwały zaporę, Antek stanął we drzwiach i zawołał: Wojciechu, ale czy to głos mu się zmienił, czy stary już nie dosłyszał, dość, że mówił spokojnie, wracając do izby: Chodź prędko, Marcinie żona czeka z wigilią. I tak weszli do chaty. Tu podróżny chwycił rękę staruszka i cisnąc do niej palące wargi powtarzał: — »Wojciechu, czy mnie nie poznajecie, hej Wojciechu!

Na dzwięk tego głosu kobieta stojąca przy kominie, obróciła się szybko i krzyknęła z przestrachu: — A toć to Antek Wilczak z tam-

tego świata! — stary poznał i zawołał: — A ty tu skąd się wziął — myśmy cię już opłakali synku. — Ale Antek miał w tej chwili tylko jedną myśl, więc zaczął pytać głosem pełnym trwogi i niecierpliwości: — »Gdzie moja chałupa, gdzie moja rodzina — gadajcie!

Stary Wojciech pokiwał smutno głową: — Nie masz ty już chaty, robaku, boć ją łońskiego lata piorun spalił i rodziny nie masz; ojcowie pomarli, a siostra za mąż poszła do innej parafii. Antek zatoczył się jak pijany i aż się o ścianę oparł.

Ot jego szczęście... ot jego wigilia... ot jego dola...

— Ostań z nami, — mówił Wojciech wzruszony; — zaraz zięć przyjdzie, to córka wieczerzę zastawi, musisz być głodny, ostań!

On podniósł głowę i teraz dopiero zrozumiał, że córka Wojciecha, a jego najmilsza, była już zamężna, ona, jego dziewczyna i że nawet kochać jej nie miał prawa... O Jezu!

— Dziękuję za wasze dobre słowa, stary druhu, ale nie mogę ostać pod tym dachem – widać już nie mam doli.

Zaszła mu w drogę młoda kobieta i prosiła, aby przyjął u nich posiłek, podniósł na nią swoje bolesne oczy i powiedział z okropnym wyrzutem w głosie: »Marto, Marto!« Widząc jednak, że płacze szepnął miękko:

— Ja nie mam do was urazy — boć nie mogliście czekać tak długo – i wyszedł. Chciał jej jeszcze coś powiedzieć, ale nie znalazł słów. Czuł tylko, że prawdziwa miłość jest nieśmiertelna i że razem ze śmiercią się nie kończy. Szedł teraz bardzo wolno, z głową spuszczoną na piersi, a twarz jego świeciła biało w ciemnościach... Zatrzymał się tam, gdzie ruiny jego chaty przysypane śniegiem tworzyły wielką mogiłę...

Klęknął na niej z sercem pełnym bólu i łez, jak dziecko klęka na grobie matki, a usta jego sine od mrozu powtarzały bezwładnie: — I po co było wracać z tamtego świata, i po co było wracać?

A głos jakiś mówił mu w duszy:

— A po co było chatę porzucać?

Rady gospodarskie.

O trawach.

Dobra pasza dla bydła to największa troska gospodarza. Nie wszędzie są łąki, a jeśli są to nie zawsze dają dobrą trawę: nie wszędzie również udaje się konicz, buraki czy marchew pastewna. Czasem przydałoby się czemś łąkę podsiać, by lepsza była pasza lub konicz, wzmocnić jakąś trawą albo też kawałek ornego pola zamienić na łąkę. Jak więc trzeba sobie postąpić i czego użyć? Doświadczeni gospodarze dawno już używają w takich razach różnych mieszanek z traw to znaczy, że sieją trawy. Może która z gospodyń zechce spróbować tego sposobu u siebie, dlatego nieco o tem pomówię.

Gdzie się koniczyna sama rodzić niechce, dobrze jest w ozimie lub w jare zboża wraz z koniczem zasiać inne trawy, jak np. rajgras angielski, tymotkę albo trawę kupkową.

Rajgras angielski może dać i trzy pokosy rocznie; wymaga roli dość wilgotnej; samego trzeba siać 24 kilo na morg a z koniczem wystarczy 5 kilo.

Trawa kupkowa rośnie gęsto — stąd kupkówką zwana, wraz z koniczem i rajgrasem może być siana tak na ornej roli, jak na łąkach. Trzeba ją wcześnie kosić, bo prędko twardnieje.

Tymotka jest doskonałą trawą na wszystkie grunta; wyrasta wysoko i daje dobrą paszę. W koniczynie zasiana dużo przysparza paszy i wspomaga konicz. Na mórg zasiewa się jej do 9 kilo.

Najlepiej jednak z tych wszystkich traw i z koniczyn zrobić mieszaninę i razem posiać, trzeba tylko odpowiednio do użytku i do ziemi wybrać odpowiedne trawy. Podajemy tu kilka przykładów jak robić.

Kto chce mieć pożytek z traw tylko w pierwszym roku to jest zaraz po zrzęciu zboża mieć dobrą ścierniówkę na paszę lub pokos, a grunta ma lekkie i wilgotne, ten niech zasieje z wiosną w oziminę saradeli.

Na mórg trzeba jej 15 kilo czyli pięć garncy. Jeśli grunt zwięźlejszy a dość wilgotny to posiać lucerny chmielowej 10 kilo i koniczyny czerwonej 4 kilo.

Kto zaś chce mieć pożytek z traw dopiero na drugi rok, ten niech zasieje:

na grunta żyzne i głębokie: koniczyny czerwonej 10 kilo, rajgrasu angielskiego 3 kilo, tymotki 1 kilo;

na grunta gorsze, płytkie: koniczyny czerwonej 3 kilo, lucerny chmielowej 7 kilo i rajgrasu angielskiego 2 kilo;

na gruntach podmokłych: koniczyny czerwonej 3 kilo, szwedzkiej 7 kilo, tymotki 3 kilo, lucerny chmielowej 3 kilo, rajgrasu angielskiego 1 kilo;

na piaskach: koniczyny białej $2^1/_2$ kilo, i rajgrasu angielskiego 6 kilo.

Kto znowu chciałby mieć użytek przez kilka lat, gdy więc rolę orną chce zamienić na łąkę to trzeba siać:

na gruntach żyznych: koniczyny czerwonej 8 kilo, szwedzkiej 2 kilo, tymotki 1 kilo i rajgrasu angielskiego 3 kilo;

na gruntach płytszych, wilgotnych: koniczyny czerwonej 8 kilo, białej 2 kilo, rajgrasu angielskiego 3 kilo i trawy kupkowej 3 kilo. Wszędzie podaje się ilość traw na cały mórg, kto więc ma mniejszy kawałek do obsiania, to trzeba z każdej trawy odpowiednio mniej zasiać.

Skąd wziąść takich mieszanek? Innej rady niema tylko trzeba kupić. A gdzie? Broń Boże nie u handlarzy żydów, ani nie u przekupki na mieście, bo wydasz pieniądze, a kupisz sobie różnych chwastów. Gdzież zatem kupić! Najlepiej — gdzie jest kółko rolnicze, żeby się włościanie razem łączyli i wpólnie sprowadzali z Towarzystwa Kółek rol. ze Lwowa, teraz jednak już zapóźno o tem myśleć, a więc kupić w porządnym sklepie u kupca katolika, albo napisać kartkę i sprowadzić ze związku handlowego Kółek rolniczych we Lwowie, w Krakowie lub Rzeszowie, bo tam są nasiona pewne.

Dla ciekawości podajemy ceny tych nasion i traw, licząc za jedno kilo. Konicz czerwony 2 korony, biały 2 kor. 80 hal., szwedzki 2 kor. 30 hal., lucerna chmielowa 1 kor., saradela 40 hal., tymotka 1 kor., rajgras angielski 2 kor. 40 hal., trawa kupkowa 2 kor. 10 hal., kostrzewa łąkowa 1 kor., wiechliwa łąkowa 1 kor. 60 hal., komornica 3 kor. 20 hal., tonka wonna 6 koron. Tych czterech ostatnich traw dodać należy do wyżej wymienionych, gdy się łąki podsiewa.

Swój.

Opowiadanie o św. Rafale i o Tobiaszu.

Trzech tylko z pomiędzy niezmiernego wojska anielskiego Pismo św. po imieniu nazywa, a Kościół osobno czci naszej poleca. Michała, który wojował z Lucyferem i zrzucił go z nieba do piekła za bunt przeciwko Panu Bogu. Gabryela, który największą i najradośniejszą wiadomość przyniósł na ziemię, zwiastując, że Bóg miał się stać ciałem, a Marya Panna, Matką Bożą. Wreszcie Rafała, którego czcimy, jako opiekuna podróżnych i lekarza chorób dusznych i cielesnych. Może niejedna z was nie pamięta kiedy to i jakim sposobem święty Archanioł dał poznać moc swoją ludziom, więc tu opowiem taką piękną powiastkę, a już całkiem prawdziwą, bo z Pisma św. wziętą i dlatego także, że w miesiącu październiku Kościół św. obchodzi osobnem świętem pamięć tego Archanioła, przypominamy wam dla waszej i swojej pociechy.

Pan Bóg, aż do przyjścia Pana Jezusa, opiekował się żydami, jako ludem swoim wybranym, z pośród którego miał narodzić się Syn Boży. Ale lud to był niewdzięczny, krnąbrny i zuchwały, często odstępował prawdziwego Boga, i przez całe dzieje jego ciągną się bunty i niewierności. Pan Bóg zsyłał na nich różne plagi i kary, wreszcie dopuścił, że byli wygnani z własnego kraju. Tę karę przepowiadali im nieraz prorocy, ale oni nie wierzyli, ani się poprawiali. Potężny król napadł ich, zwyciężył i pognał w niewolę. Siedzieli więc w kraju obcym i pogańskim, bez rządu własnego, bez świątyni i świąt, bez pociechy, jak niewolnicy. Żyli w rozproszeniu po różnych miastach, czasem więcej, czasem mniej uciskani, podług tego, jaki król tam panował, lepszy albo gorszy, a trwała ta ich niewola 70 lat. Jakto bywa, że w biedzie się człowiek opamięta, tak i żydzi, zdaleka od ojczyzny lepiej Panu Bogu służyli, niż kiedy świątynię mieli blisko, a niektórzy bardzo wiernie spełniali wszystkie przykazania i przepisy swoje. Takim był Tobiasz, żyd pobożny i miłosierny. Był on zrazu dość majętny, ale hojny był w jałmużnach, a część majątku rozpożyczył tym, którzy byli w potrzebie, a na wygnaniu było takich wiele. Wreszcie sam zubożał, a jednak i wtedy co mógł, to robił dla drugich.

Nastał wtedy król okrutny, który za byle co żydów na śmierć skazywał. Otóż Tobiasz, nie mogąc braci swoich ratować, przynajmniej ciał ich na poniewierkę i na pożarcie psom, jak bywało w kra-

jach pogańskich, zostawić nie chciał. Z wielką więc nieraz uciążliwością znosił ukradkiem trupy do domu swojego, a potem nocą pokryjomu wynosił i w ziemi grzebał. Coraz więcej przybywało umarłych, nieraz Tobiasz od stołu wstawał, jak mu znać dali, że trup gdzie leży. Raz zmęczony całonocną pracą upadł prawie pod progiem domu swojego i zasnął. Na zamknięte jego powieki spadło łajno z jaskółczego gniazda pod dachem i oczy mu wygryzło. Biedny Tobiasz zaniewidział. On sam nie sarkał i przyjął z poddaniem ten dopust Boży, ale przyjaciele, jak to bywa, niby go żałując, sarkali na niego. Wymawiali mu dobre uczynki, że przez nie nic sobie nie zasłużył u Pana Boga, a tylko sam popadł w nędzę i kalectwo. Nawet żona gorzko wymawiała mu jałmużny i modlitwy, i to, że ona teraz musi pracować na siebie i na niego. Wtedy tak się smutno Tobiaszowi zrobiło, że prosił Pana Boga o śmierć rychłą. Sądząc, że go Pan Bóg wysłucha, zawołał syna, młodzieniaszka jeszcze, aby mu przypomnieć wszystkie obowiązki względem Boga, kraju i matki. Zalecał mu też, jako pierwszy po Bogu obowiązek, miłość bliźniego i jałmużnę, a słowa jego takie piękne, że kilka z nich tu przytaczam, bo je zapamiętać warto:

»Czyń jałmużnę z majętności twoich, a nie odwracaj oblicza twego od żadnego ubogiego, a tak będzie, że i od ciebie nie odwróci się oblicze Pańskie. Jako będziesz mógł, tak bądź miłosierny: będzieszli miał wiele, hojnie dawaj: jeśli mało będziesz miał, i mało z chęcią udzielać usiłuj. Tak sobie zaskarbisz zapłatę na dzień potrzebny, bo jałmużna wielką ufnością będzie przed najwyższym Bogiem wszystkim, którzy ją czynią«.

Wreszcie oznajmił Tobiasz synowi, że niegdyś pożyczył jednemu żydowi ze swego pokolenia znaczną sumę pieniędzy, bo na naszą rachubę wyniosłaby koło piętnastu tysięcy reńskich, na prosty rewers czyli kwit, bez procentu. Zanim oczy zamknie, radby, aby syn tę sumę odebrał. Ale człowiek ów mieszkał w dalekim mieście, a chłopiec młody potrzebował na tę drogę towarzysza i przewodnika. Kazał mu więc postarać się o takiego pewnego człowieka. Zaledwo młody Tobiasz wyszedł z domu, spotkał młodzieńca przybranego, jak gdyby do podróży. Gdy go zapytał, czy był w mieście Rages, odpowiedział, że był nieraz i że zna Gabelusa, który tam mieszka. Ucieszył się młody Tobiasz, wiedząc, bo ten był dłużnikiem ojca. Zaprowadził więc młodzieńca do niego; starzec, choć ślepy, przekonawszy się z mowy przybysza, że stateczny i dziwnie roztropny, po-

wierzył mu syna, którego rodzice oboje, a zwłaszcza matka, gorzkimi łzami żegnali.

Różne w drodze mieli przygody; wreszcie zatrzymali się w stolicy kraju Medyjskiego, Ekbatanie. Tam mieszkał krewny Tobiasza Raguel, i roztropny przewodnik, który zwał siebie Azaryaszem, powiedział młodzieńcowi, że wypada mu przywitać krewnego ojca, a nawet prosić o rękę córki jego Sary. Na to słowo zląkł się młody Tobiasz, słyszał był bowiem, że ta dziewica siedm już razy była za mąż wydana, i każden z tych mężów pierwszej nocy po ślubie nagle umierał. Azaryasz go uspokoił mówiąc, że jemu właśnie Pan Bóg ją przeznaczył, jako młodzieńcowi cnotliwemu i dlatego tamci niecnotliwi śmierć znaleźli w tem małżeństwie. Raguel ich przyjął gościnnie, a dowiedziawszy się, że młodzieniec jest synem Tobiasza, błogosławił mu jako synowi świątobliwego człowieka. Tem niechętniej wszakże przyjął prośbę o rękę córki, bojąc się dla syna krewnego i przyjaciela, losu innych swoich zięciów. I znów Azaryasz go zapewnił, że Tobiasza taka przygoda nie spotka. Smutna Sara, która w łzach i modlitwie młode lata spędzała, ze strachem oddała rękę młodzieńcowi, a Azaryasz, który im dziewosłębił, prosił, by na modlitwie pierwszą noc poślubną spędzili, upraszając sobie błogosławieństwo na nowe życie. Ale Raguel niedowierzał, i już pokryjomu grób kopać panu młodemu rozkazał. Gdy oboje wstali zdrowi i weseli, radość rodziców była tem większa, i Raguel pomyślał o sutem weselu. Cieszył się Tobiasz żoną i nową rodziną, a pilno mu było wykonać zlecenie ojca i powracać rychło do niego. Tu znów Azaryasz ofiarował się z pomocą, wziąwszy kwit sam podążył do Rages, odebrał dług, który mu Gabelus chętnie wypłacił, i wziął go z sobą na gody weselne.

Rodzice młodej, jak to bywa, radziby byli zatrzymać córkę i zięcia jak najdłużej, ale Tobiasz prosił, by wzgląd mieli na wiek ojca, na jego samotność i kalectwo; puścili więc Sarę, zdawszy na nią połowę znacznego swego majątku, i żegnali pięknem upomnieniem, aby »świekrę czciła, męża miłowała, czeladzią rządziła, dom sprawowała, a sama siebie zachowała bez przygany«.

W połowie powrotnej do Niniwy drogi, Tobiasz, za namową Azaryasza, zostawił żonę, aby z czeladzią i dobytkiem wolniej za nim zdążała, a sam puścił się naprzód z przewodnikiem, aby rodziców czemprędzej powitać i ucieszyć. Jakoż wielki był ich smutek i obawa o syna; matka codziennie wybiegała za miasto na pagórek,

i codzień ze łzami wracała nie spotkawszy syna. Wymawiała, jakto żony umieją, mówiąc, że światło oczów ich, że ostatnią pociechę puścił od siebie, a biedny ojciec sam zbolały, pocieszał stęsknioną matkę. Aż wreszcie dzień szczęśliwy zaświtał: pierwszy przybiegł pies wierny, który towarzyszył podróżnym i skomleniem i machaniem ogona witał ślepego pana swego. Tobiasz potykając się biegł naprzeciw syna, który zaledwie go powitał, pomazał powieki jego żółcią ryby, którą schwycił w drodze i którą mu Azaryasz w tym celu kazał wziąść z sobą. Nie minęła godzina kiedy przejrzał starzec i nietylko syna, ale wkrótce i synową zobaczył, wielbiąc Boga za cuda miłosierdzia Jego nad sobą.

Ale o dzielnym przewodniku trzeba było pomyśleć. Naradzali się więc ojciec z synem, jakąby mu zapłatę wyznaczyć, a wdzięczny młodzieniec zapewniał ojca, że i połowa całego majątku byłaby niezbyt wielką nagrodą za jego dobrodziejstwa. Prosili go tedy, aby pół tego, co z łaski jego im przypadło, przyjąć od nich raczył. On zaś oznajmił im, że nie jest Azaryaszem, lecz Aniołem Rafaelem, posłanym im przez Boga ku pomocy, a w nagrodę dobrych uczynków, a zwłaszcza jałmużny, która, jak powiadał: »oczyszcza grzechy i sprawia, że się znajduje miłosierdzie i żywot wieczny«. Przypomniał mu Anioł, iż »gdy się modlił z płaczem i w dzień chował umarłych w domu swoim, a w nocy ich grzebał, jam zanosił modlitwy i jałmużny twoje przed Pana, a iżeś był Mu przyjemny, zsyłał Bóg na ciebie próby i doświadczenie, a teraz posłał mię, abym cię uzdrowił i przeprowadził szczęśliwie syna twego«. Tobiasz ojciec i syn, w przerażeniu upadli twarzą do ziemi i rzekł im Anioł: »Pokój wam, nie bójcie się«. I znikł z oczów ich, a oni przyszedłszy do siebie, opowiadali o cudach miłosierdzia Bożego nad sobą.

Ta śliczna powieść daje nam dowód i przykład, jak bardzo Pan Bóg każdym z nas się opiekuje. Oto widzimy, ile dla jednej rodziny sprawuje cudów, jak Archaniola swojego nie żałuje, aby przyjść w pomoc Tobiaszowi i jego synowi; jak troskliwie nad nimi czuwa. Widzimy jeszcze, jak miłą jest Panu Bogu jałmużna, jak pamięta człowiekowi każdy dobry uczynek. Niechże to będzie owocem tego opowiadania, abyśmy bliźniemu przynosili taką pomoc, na jaką nas stać. Czy dasz grosz ubogiemu, czy kromkę chleba, czy garść ziemniaków, pamiętaj, abyś jak Tobiasz syna napominał, dobrem sercem dawała, bo serce dużo więcej niż datek liczy się u Pana Boga,

a i biednemu ten chętny datek milszy jest, i jego »Bóg zapłać« prawdziwą wyjedna ci zapłatę przed Panem Bogiem.

O nowym sposobie dojenia krów.

Każda staranna gospodyni wie, jak łatwo zapuścić krowę, kiedy się ją niedbale doi, kiedy się ją doi bylejako. I o tem także gospodynie wiedzą, że krowa z początku daje najchudsze mleko, a ku końcowi najtłustsze. Ale o tem nie wie, że krowa przy samym końcu dojenia da mleko 6—8—9 razy tłustsze niż z początku, bo tego tylko rozmaitemi miarami docieknąć można. Niema teraz kraju na świecie, gdzieby tak dobrze koło krów chodzili, jak Dania, a jest to kraj dosyć duży nad morzem, na jakie 100 mil na wschód od Gdańska, gdzie Wisła do morza wpada. Żyje tam niejaki pan Hegelund, właściciel sporej obory, który przez długie lata robił próby, jak to krowy doić, żeby jak najwięcej i najlepszego mleka dały. Sposób, jaki na ostatek wymyślił, taki się pokazał dobry, że zewsząd setkami się ludzie do niego schodzą, żeby się go nauczyć, a nawet urządzili w tym kraju osobne szkoły dla uczenia doju tym sposobem. Ten, który wam to pisze, już od trzech miesięcy każe tym sposobem doić, bo się go nauczył, choć nie u pana Hegelunda, ale z gazet rolniczych, które o tem piszą, i chce wam ten sposób opisać, ile potrafi, najdokładniej.

Naprawdę zaczyna się od tego, że się krowę doi przez dwa tygodnie po 7 razy na dzień, alem tego nie próbował, tylko u jałówek pierwiastek, bo to rzecz coprawda ciężka, a nawet w lecie, wcale tego zrobić nie można. Samo dojenie robi się tak: Jak dójka siedzi po prawej stronie krowy, bierze w całą rękę te dwa podójki, co są po jej stronie, t. j. po prawej. Nie doi ciągnąc podójki przez palce, tylko je ściska i popuszcza, ciągle równo i oba dójki odrazu, niezbyt prędko po sobie, ale dobrze ściskając. Zrazu krowa na to nowe dojenie niebardzo popuszcza mleka, tak, że to dojenie zrazu trwa długo. Gdy krowa już nic nie chce dać z prawych podójków, bierze się za lewe, i tak samo znowu doi, aż już nic nie dadzą. Potem się bierze znowu za prawe podójki i drugi raz wydaja, i tak

samo lewe. Gdy to skończone chwyta dójka znowu obiema rękami za dwa prawe podójki, i trzymając je w ręku, ale nie ściskając mocno, obiema rękami odrazu uderza trzy razy po sobie do góry w wymię krowy, i znowu tym sposobem jak pierwej doi, aż nic niema. Wtedy chwyta za lewe podójki, i z niemi akurat tak samo robi. Wraca znowu do prawych dojków, znowu trzy razy uderza i doi, i znowu lewe podójki tak samo. Potem bierze oba tylne podójki i uderza jeden raz do góry w wymię, ale nie prosto do góry, i trochę na przód, ku łbowi. Puszcza zadnie dójki, i z przedniemi robi to samo, wydajając do reszty. Wszystko to dojenie robi się całą ręką, nie ciągnąc przez palce, tylko ściskając i popuszczając, a mało co ciągnąc za podójki. Nareszcie bierze każden podojek osobno we dwa palce od obu rąk i mijanego wyciąga podojek przez palce, pokąd aby kropla pójdzie, wszystkie cztery podojki po kolei.

»A któżby siebie samą i bydlę tak katował«, powie niejedna; tak też i u mnie dziewki mówiły, i była buntacya, bo do tego jeszcze je palce i ręce rozbolały od takiego dojenia. Alem im poprawił po 50 ct. na miesiąc za takie dojenie, ręce ich przestały boleć, i dziś, gdy się wprawiły, a krowy także, dój nie trwa dłużej, jak dawniej.

Ale jaki z tego skutek? Zrazu, i przez pierwsze dni nawet było trochę mniej mleka; dopiero po miesiącu na 40 krowach przybyło po 12 a potem 16 litrów na dzień, i dzisiaj na pewno mam więcej mleka, niż o tej porze roku miewałem. Lepiej jeszcze co do zbierności mleka, a wiem o tem, bo z niego masło na sprzedaż robię. Com dawniej o tej porze miał z 10-ciu litrów funt masła, to teraz mam z 9-ciu litrów funt masła. Im młodsza krowa, tem więcej na niej znać skutek takiego dojenia, a im starsza, tem mniej. Zaleca także pan Hegelund, żeby podojków i wymienia nie myć przed dojem, tylko wycierać ścierką do czysta, a tylko raz w tydzień dobrze omyć wymię i podojki ciepłą wodą i zaraz wytrzeć. Od zimnej wody pierzchnie skóra na podojkach i robią się bolące.

Będzie pewno niejedna taka, co spróbuje 2 i 3 razy, a jak nie będzie zaraz skopek pełny, to powie, że wszystko głupstwo i da pokój; ale zato taka, co będzie ciekawa i jak raz zacznie, nie popuści, to po kilku miesiącach powie: »dobrze ten radził, co to pisał«.

Nareszcie trzeba i o tem wiedzieć, że jedna krowa będzie zawsze dawać tłustsze mleko, jak druga, więc choć się zdarzy, że sąsiadka doi starym sposobem, a ma tłustsze mleko niż ja nowym sposobem, to to jest sprawa krowy, ale nie sposobu dojenia. Co do mnie

to się spodziewam, że mi jeszcze mleka przybędzie od tego dojenia. Tylko trzeba uważnie ze 2 albo 3 razy przeczytać, żeby dobrze zrozumieć, jak to robić.

J. P.

Z kościoła

Obchód jubileuszu Ojca św. o którym donosiliśmy, odbywał się w tych dniach w Rzymie z ogromną radością i okazałością. Wierni z całego świata zjechali się tak licznie, że miejsca w gospodach zabrakło, a na ulicach i placach Rzymu słychać było wszystkie mowy świata. Czuć było, że to Ojciec powszechny obchodzi uroczystość radosną; dzieci od krańców świata się zgromadziły, a ci co dziećmi Jego zwać się nie chcą, bo od kościoła odstąpili przecież i oni wielbią w Leonie XIII cnotę, rozum, a szczególniej to serce, którym obejmuje potrzeby ubogich i bogatych, mędrców i prostaczków; każden jego serca bliski, a nikt tak, jak cały lud pracujący, tak że go nazwano papieżem robotników. Dlaczego? Oto, że on ze swego najwyższego stanowiska widzi i przypatruje się wszystkim nędzom, które w naszych czasach dotykają niższe warstwy społeczeństwa, widzi ile ludzi czasem nie może zapracować na kawałek chleba dla siebie i dzieci i to nie u nas tylko jak się nam czasem zdaje, ale na całym świecie. Wiele powodów się na to składa, długo byłoby tu o nich mówić, więcej idzie o to, by poradzić, aby było lepiej na świecie. Otóż Ojciec św. co trochę nawołuje do naprawy stosunków. Bogatym mówi: bądźcie sprawiedliwymi, bądźcie miłosiernemi, opiekujcie się temi co mają mniej majątku, zakładajcie dla nich stowarzyszenia, kasy pożyczkowe kółka rolnicze, brońcie ich od lichwy i wyzysku. Ubogim mówi: pracujcie, oszczędzajcie, a w sercu nie miejcie zazdrości dla tych co więcej od was mają.

Otóż ten Ojciec św. całego świata, obchodził teraz swój jubileusz tj. 25-letnią pamiątkę wstąpienia na tron papiezki. Do kościoła św. Piotra, choć w nim do 100 tysięcy ludzi się zmieści wpuszczano za biletami, ale zapełnił się szczelnie już kilka godzin przed ukazaniem się papieża. Wszyscy ze wzruszeniem czekają, wreszcie koło jedenastej, tak jak fala przelatuje przez kościół olbrzymi szmer: Ojciec św. idzie! I zaczyna się pochód: Srebrne trąby z ganku niebotycznego

grają, idą szeregiem biskupi, arcybiskupi, kardynałowie, a między nimi nasz ks. kardynał Puzyna. Wreszcie ukazyje się, płynie nad głowami tłumu, niesiony na wysokim krześle Leon XIII, wszyscy pochylają głowy, wołają łzami i modlitwą, a Ojciec św. błogosławi. Patrzą na Niego, wydaje się że to nie człowiek, ale widzenie niebieskie. Podczas podniesienia na nowo odzywają się trąby srebrne, zdaje się, że to aniołowie na nich grają i głoszą chwałę Bogu na wysokości. Gwardya papieska wyjmuje szable i przyklękają, a taka cisza mimo stu tysięcznego tłumu, że słychać stuk broni. Po mszy św. i Te Deum, który Ojciec św. intonuje, przenoszą Go napowrót, a stanąwszy w środku kościoła, udziela szerokiem ruchem ręki błogosławieństwa. Słychać Jego słowa: In nomine Patris et Filii et Spiritui Sancti!

Nas tam nie było Ojcze św. ale Twoje błogosławieństwo i nas dosięgnie; błogosław wsie i miasta nasze, błogosław biedny kraj jak długi i szeroki, błogosław tych co cierpią i pracują, byśmy w pracy i wierze dotrwali i z tobą się dostali do odpoczynku wiecznego!

Wydawca: **Henrykowa Dziewicka.** — Redaktor odpowiedzialny: **Katarzyna Płatek.**

W drukarni W. L. Anczyca i Spółki w Krakowie